

To był ich duży atut. Nam nie udało się manewr z Koryntem w roli wymiatacza, nie pomogła czuła opieka Grzybowskiego nad Strelcowem, ani też harujący między pomocą i atakiem Bolek Lewandowski. W przodzie tercet Baszkiewicz – Kempny – Ciupa wprawdzie kilka razy dał się we znaki Jaszynowi, ale to było za mało na Nikitę Simoniana i jego kolegów. Przez większość spotkania nasi tylko się bronili.

W „Przeglądzie Sportowym” mocno skrytykowaliśmy defensywną taktykę naszej reprezentacji. Tytuł komentarza „BEZ CUDÓW I METAFIZYKI” był upokarzający. Za bojaźliwą grę na Łuźnikach obciążyliśmy przede wszystkim kapitana związkowego Henryka Reymana. Dziwiliśmy się, że były król ligowych strzelców zlecił murowanie własnej bramki. Kapitana PZPN i jego taktyki bronił jednak Ryszard Koncewicz. Pomysł jego zdaniem był dobry, zabrakło tylko odpowiednich wykonawców:

... „Przed laty prowadziliśmy tu otwartą grę, ale wówczas dysponowaliśmy Cieślikiem, Trampiszem, Brychczym w dobrej formie. W Moskwie tej klasy i tego typu zawodników nie mieliśmy. Zwłaszcza Brychczy i Cieślik by się tu przydali, ale... chory zawodnik grać nie może...”

Niewątpliwie była to jedna z racjonalnych przyczyn owego 0:3, ale pojawiły się też tłumaczenia mniej rozsądne. Tak to jest: „*Złej tanecznicy przeszkadza nawet rąbek u spódnicy...*”. Niektórym naszym graczom w Moskwie najbardziej utrudniał grę deszcz i elektryczne oświetlenie. Prezes PZPN, Stefan Glinka wytkpił te opinie jednym zdaniem: „**Słabszy zawsze musi przegrać!**”. Święta prawda! Ale czy cała? Już w samym wyborze taktyki tkwił błąd, dobrowolnie podłożyliśmy głowę pod topór. Reyman bał się rycerskiego podjęcia rękawicy i otwartej walki z rywalem.

W hotelu „Leningrad” mieszkała też nasza ekipa. Mój pokój 201 sąsiedował z apartamentem (były w nim radio, telewizor oraz lodówka z trunkami, ka-

wiorem i łososiem) prezesa Glinki. Po meczu odwiedził go szef Federacji Piłkarskiej ZSRR i jednocześnie ówczesny wiceprezydent FIFA, Walentyn Granatkin. Prezes Glinka zaprosił mnie na to spotkanie. Oczywiście był też Henryk Reyman i inni członkowie kierownictwa.

– Panie pułkowniku – zaraz po pierwszym głębszym zapytał Granatkin – czy dobrze zestawiał pan skład polskiej drużyny?

– Nie! – Szybko i szczerze odpowiedział Reyman.

– A ile razy selekcjoner może się pomylić?...

– Trzy!... Najwyżej trzy...

– Wspaniale! – ucieszył się Granatkin – Gdyby przypadkiem doszło z nami do trzeciego meczu, to jest szansa, że znowu się pan pomyli...

Przed rewanżowym meczem w Chorzowie na łamach „Przeglądu Sportowego” zainicjowałem zakrojoną na szeroką skalę, ogólnopolską dyskusję: – „CZY MOŻNA I W JAKI SPOSÓB WYGRAĆ Z ZSRR!”. Pierwszy na ten apel odpowiedział Ryszard Koncewicz. Powtórzył uwagi już wcześniej zasygnalizowane:

...„Wygrywaliśmy z piłkarzami radzieckimi wtedy, kiedy mieliśmy w składzie Cieślaka, Trampisza, Jezierskiego, Brychczego, Sąsiadka, a więc tzw. „konusów”, niezbyt silnych fizycznie, ale za to szybkich, trudnych do utrzymania, dobrych technicznie, wnoszących do gry dużo sprytu i dojrzałości taktycznej. Pod tym kątem trzeba myśleć już dzisiaj o jedenastce na mecz rewanżowy”.

Próba generalną przed rewanżem w Chorzowie miał być mecz Bułgaria – Polska w Sofii. Czy był rzeczywiście? Do Sofii przybyto wprost z Barcelony, gdzie nasza kadra uczestniczyła w czwórmecczu z okazji otwarcia Camp Nou. Grały: Barcelona, Burnley, Flamengo i Warszawa. Nasz zespół prowadził już mgr Tadeusz Foryś, który po moskiewskiej wpadce zastąpił Koncewicza. Organizatorzy zdecydowali, że w meczu otwarcia Barcelona zmierzy się z Warszawą. Miejscowi wygrali 4:2. Przez znaczną część spotkania nasz zespół na Camp Nou grał do-

brze, dopiero w końcówce – opowiadał Foryś – zabrakło chłopcom siły. Zwłaszcza Heniek Szymborski i Krzysiek Baszkiewicz stracili werwę w katalońskim upale. Jednak po akcjach Brychczego, bezwzględnie najlepszego w naszej drużynie, byliśmy nawet bliscy remisu. Przegraliśmy, ale Hiszpanie nas chwalili...

W Sofii magister Foryś zastosował wariant taktyczny zapożyczony od Janosza Steinera. W przodzie kwartet Gawroński, Jankowski, Szymborski i Nowak, a tuż za nimi rozgrywający Brychczy. W istocie „Kici” był w tym meczu jedynym napastnikiem z prawdziwego zdarzenia. Nasz zespół grał kiepsko, jednak spotkanie zakończyło się remisem 1:1. Bułgarzy przeważali, byli lepsi, ale wobec naszych dwóch arcymistrzów – Szymkowiaka i Brychczego – byli bezradni. Edek, liczyłem to dokładnie, obronił 43 (!) strzały nie tylko napastników, a Lukek huknął tylko raz, a dobrze. Stąd remis 1:1. Gol „Kiciego” był godny utrwalenia na taśmie filmowej, tak zdobywał bramki tylko Węgier Sandor Kocsis, „główwkarz doskonały”. Brychczy w Sofii też tak pięknie uderzył piłkę głową, że z wrażenia aż podskoczył jeden ze „szpiegów” z Moskwy, trener Waleryj Jakuszyn, prawa ręka Gawryiła Kaczalina.

– Mołodiec! – Eto wtaroj Kocsis...

Gawryił szef „sbornej” dyskretnie skarcił Walerego:

– Trzeba prosić Boga, aby z nami tak dobrze nie zagrała cała polska drużyna. Czy nie zauważyłeś, że pozostali wiedząc o naszej tu obecności, wyraźnie kryli swoje prawdziwe umiejętności?

Iwan Kolew, kapitan reprezentacji Bułgarii był zafascynowany postacią Szymkowiaka...

– To szatan, a nie bramkarz! On wam wypracował ten remis!...

Po meczu udałem się do szatni naszych piłkarzy. Atmosfera niezbyt przyjemna. Henryk Reyman wściekły, Foryś nieco przygarbiony, zawodnicy milczący. Selekcjoner wygarnął chłopakom, że na rewanżowy mecz z ZSRR ma na ra-

zie tylko dwóch pewniaków – Szymkowiaka i Brychczego. Zwrócił się do najbliższego stojącego piłkarza:

– A pan kim jest? Jak się nazywa?

– Gawroński... Jan Gawroński z Gwardii Warszawa panie pułkowniku – wybełkotał zaskoczony gwardzista. – Grałem dziś na prawym skrzydle...

– Grał pan? Kto pana powołał?

Odpowiedzią była salwa śmiechu całej ekipy. Ponury nastrój rozładowany. Ale żarty na bok, z „przyczyn technicznych” nie było transmisji radiowej z tego meczu. Część dziennikarzy piszących też miała kłopoty „na linii”. Na moją głowę spadł obowiązek wyłączenia kolegów zarówno „mówiących”, jak i „piszących”. Minuta po minucie, dość szczegółowo opisałem to spotkanie.

Wielu naszych dziennikarzy przyszło na stadion Wasyla Lewskiego w kiepskiej formie. Gorączkowali. Właśnie wtedy szalała w Bułgarii azjatycka grypa. Tylko ja się jej wywinąłem. Profilaktyka była nietypowa. Przed meczem, w czasie przerwy, wieczorem w hotelu „Sewastopol”, a potem podczas podróży turystycznej z Sofii do Warny, zagrypiony Stasio Wojtek ze „Sportu” Katowice wdmuchiwał mi w usta te cholerne mikroby, a ja to świństwo natychmiast popijałem setką „Pliski”. I zwalczyłem wirusa... Złożyliśmy kwiaty przed grobem Władysława III Warneńczyka.

W drodze powrotnej na lotnisku w Burgas udało mi się sprzedać mocno już sfatygowany złoty zegarek i kupić za to elegancki kozuch. Kłopotów na cle nie było. Autobus „Lotu” podwiózł nas na Plac Ludwika Waryńskiego. A tam jakieś zgromadzenie, okrzyki, złorzeczenia... Znowu nerwowe chwile. Pytam, co się stało? Podekscytowani mieszkańcy Śródmieścia chórem odpowiadają: *„To studenci protestują przeciwko zamknięciu przez nowe władze PRL ich tygodnika „Po prostu”. I to ma być ta zapowiadana wolność słowa i publikacji!”* Ni pies, ni wydra...

Szybko zbliżał się rewanżowy mecz z ZSRR. Szymkowiak i Brychczy wciąż świetnie grali, dobrą formą błysnął też Edmund Zientara. W tej sytuacji nasz re-

dakcyjny „enfant prodige” Leszek Cergowski, włączając się do publicznej dyskusji nad składem, zaproponował kapitanowi związkowemu własną, zilustrowaną zdjęciami, koncepcję reprezentacyjnej jedenastki: pięciu Brychczych, trzech Zientarów i trzech Szymkowiaków. Mógłby się tam znaleźć również Kazio Trampisz, bo był w dobrej formie, ale w przegranym meczu Polonii Bytom z Wisłą w Krakowie, znowu zachował się nieprzyzwoicie. W trybie nagłym wymierzono mu trzyletnią dyskwalifikację. Pobił kogoś? Obrząził sędzię?... W oficjalnym komunikacie podano, że Trampisza ukarano „za wybitnie niesportowe zachowanie”. To znaczy?... Kazio ściągnął spodenki, pochylił się i... pokazał kibicom Wisły gołą pupę. Uwierzyłem, bo to było w stylu Trampisza. Jeden z największych kpiarzy w tamtych czasach...

Przed meczem w Chorzowie, przez całe zgrupowanie, od rana do wieczora byłem z drużyną. Kwaterowała w schludnych pomieszczeniach wojewódzkiej szkoły partyjnej. Wtedy (ach, ta cenzura) musiałem napisać, że *„był to jeden z mniej znanych hoteli w Katowicach”*. Za to komfort niecodzienny. Schludne pokoje, wygodne spanie, dobre wyżywienie, nawet prawdziwy miód przed śniadaniem i czasem po kolacji. A wieczorem bogate życie świetlicowe: zimne i ciepłe napoje, brydz, skat i projekcja filmów o jakich w normalnych kinach można było by tylko pomarzyć. Znakomite amerykańskie westerny, kryminały, melodramaty. Trenowano na Stadionie Ludowym w Sosnowcu. Przez pierwsze dwa dni na zgrupowaniu nie było jeszcze Baszkiewicza i Lentnera, wojażowali po Europie z drużynami klubowymi. Trener Forys – ku mojej radości – pozwolił mi na kilku treningach zabawiać się w lewoskrzydłowego.

Wieczorami najchętniej siadaliśmy do brydza. Do „żelaznej trójki”: Baszkiewicz, Korynt, Lechowski z reguły przyłączał się urzędnik Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Sportowych (PPIS). Hazardzista z niezłą kasą. Był dla nas zwykłym jeleniem. Niby graliśmy rundki „każdy z każdym”, ale przegrywał tyl-

ko – PPIS-owiec. Zdegustowany niepowodzeniem grą w trzynaście kart, proponował szybszą i mniej skomplikowaną w „pięć kart” czyli pokera. Ale i tu liwości dla nadzianego partnera nie było, odchodził od stołu z pustym portfelem. Wyjechał na jeden dzień do Warszawy po... forszę. Wrócił skruszony, pokera już nie proponował, ale do brydza nadal go ciągnęło. A my znowu goliliśmy frajera...

Tymczasem kapitan związkowy, Henryk Reyman, zaordynował zawodnikom obowiązkowe picie miodu na czczo, zaraz po porannej toalecie. Na odprawach, przypominam, że działo się to w szkole partyjnej, opowiadał z dumą jak to jego dawny, jeszcze przedwojenny przyjaciel, Sepp Herberger, trener reprezentacji NRF, podobną terapię zastosował w roku 1954 podczas mistrzostw świata w Szwajcarii.

– Niewątpliwie – przekonywał zawodników selekcjoner – ten zwykły miód rozcieńczony w szklance ciepłej wody przyczynił się do zdobycia przez Niemców Pucharu Rimeta. Piłkarsko Węgrzy byli lepsi, ale właśnie w finale zwycięzcy górowali nad nimi siłą fizyczną. Dzięki miodowi... Ten boski napój będzie dla panów przygotowywał trener Ewald Cebula.

Dowcipami starano się zbyć pomysł Reymana.

– Najlepszy jest kasztelański! – wrzasnął Lucjan Brychczy.

– Ależ panie Brychczy – spokojnie zareagował pułkownik – to nie o taki miód chodzi... Mam na myśli prawdziwy, pszczeli... Taki jak z pasieki mojego znajomego księdza proboszcza z Grybowa.

Brychczy nie dał się przekonać:

– Taki miód najlepszy jest z uli „Siwego” z Rembertowa. Próbowałem...

– Możliwe... Ale nie znam tego pana.

– Jak to nie? Jest tu z nami. To lewy obrońca Jurek Woźniak...

Miodową kurację trener Cebula zastosował również wobec Ernesta Pohla, który w kadrze pojawił się dopiero we Wrocławiu, tuż przed trzecim meczem z ZSSR w Lipsku. Spóźnił się na zgrupowanie i to w kiepskim humorze.

Był wyraźnie zmęczony, akurat wtedy się ożenił. Przyjęcie weselne trwało kilka dni, a pan młody cały czas dotrzymywał towarzystwa gościom. Kiedy wreszcie pojawił się we Wrocławiu, Ewald Cebula zaczął wyciskać z niego nadmiar spożytych płynów. Nawet wieczorami przy świetle zwykłych lamp ulicznych powoli stawiał go na nogi. Obaj panowie wykazali dużo dobrej woli, ale to nie przekonało kapitana PZPN. Pohl, jeden z najwybitniejszych polskich piłkarzy, znowu był tylko rezerwowym, a u Baszkiewicza pojawiło się podejrzenie o białaczkę. Orły bez skrzydeł – ubolewał trener Foryś.

Henryk Reyman nie tracił jednak nadziei. Zarówno przed spotkaniem w Chorzowie, jak i przed wyjazdem do Lipska w pogadankach, pełnych patriotycznego uniesienia, twierdził, że Polacy są w stanie utrzyć nosa rywalom. Potrzebują tylko odpowiedniej motywacji i mobilizacji.

– Panowie – mówił rano i wieczorem, zawsze w stylu podniosłym – ja już wielki triumf nad Sowiecami przeżyłem w roku 1920 w „bitwie warszawskiej”. Mało się dziś o tym mówi, długo był to w ogóle temat zakazany, ale mnie o „cudzie nad Wisłą” milczeć nie wolno. To był zbiorowy wyczyn, bohaterstwo całego narodu. Na taki właśnie zryw, oczekuję teraz ze strony panów w walce z „ruskimi” na boisku. Pod Warszawą do historycznego boju z bolszewikami poprowadził nas Marszałek Piłsudski, w Chorzowie zwycięstwo nad Sowiecami jest ogromną szansą reprezentacyjnych piłkarzy.

– Mamy swoje powody, by walczyć na całego, ale „ruscy” mają lepszą drużynę – przerwał pułkownikowi, Edward Jankowski. – Żyją z futbolu... I nie mieszkają w takich klitkach, jak my, tu na Śląsku...

– Czasy rzeczywiście są trudne, panie Jankowski – spokojnie replikował Henryk Reyman. – Mieszkań nie mają jeszcze wybitniejsze od nas jednostki. W Krakowie, jeden z moich przyjaciół jest znanym profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim. I też nie ma własnego kąta...

– To niech gra Fussball! – Tak Jankowski zakończył ten dialog.

Pomysły i piłkarskie homilie kapitana związkowego, przede wszystkim udane przygotowania sprawiły, że mecz w Chorzowie wygrali Polacy. Niezwykły, najlepszy mecz o punkty w dotychczasowej historii reprezentacji, widowisko na pięć gwiazdek. To historyczne zwycięstwo, poza dużymi umiejętnościami czysto sportowymi, zrodziła właśnie niecodzienna motywacja, mobilizacja i rzadko spotykana koncentracja. Ponad 100 tysięcy widzów szalało z radości. Zapotrzebowanie na bilety było trzy razy większe. Jak z tego kłopotu wybrnęli wiceprezes OZPN w Katowicach, mgr Karol Krawczyk, sekretarz okręgu Franciszek Smelczerczyk i współpracujący z nim członek kapitanatu PZPN, Feliks Dyrda – do dziś pozostało to ich słodką tajemnicą. Optymizm z narodzie był ogromny. Dostrzegł to po przyjeździe do Polski kapitan „sbornej” Nikita Simonian, wielka indywidualność z pierwszego meczu w Moskwie.

Jeśli teraz, przed meczem rewanżowym, ktoś sądzi, a nie brak u nas takich szaleńców, że w Chorzowie znowu wygramy 3:0, to chyba nigdy nie kopał piłki. Będzie 1:0 lub 2:1 i to jeszcze nie wiadomo dla kogo...”

BENEFIS CIEŚLIKA

Było 2:1 dla Polski. Do czterdziestej trzeciej minuty utrzymywał się wynik bezbramkowy. Nasi cały czas grali ładnie dla oka, konstruowali wiele efektywnych akcji ofensywnych, ale Lwa Jaszyna nie mogli pokonać. Dopiero tuż przed przerwą popisowa akcja w trójkącie Brychczy – Lentner – Cieślik dała nam prowadzenie. Sława Gerarda na moment zniewoliła całą defensywę przeciwnika. Sprytnie zmylił obrońców i wybiegł na wolną pozycję. Przed nim tylko zrozpaczony Jaszyn. Starcie dwóch mistrzów, wymarzone dla Cieślika. W przeszłości zdobył już wiele takich goli, zwiódł bramkarza. Pozornie piłka była w zasię-

gu rąk interweniującego Jaszyna, ale to złudzenie. Ugrzęzła w samym rogu siatki, 1:0 dla Polski!

Widownię, trenerów, rezerwowych zawodników, działaczy, dziennikarzy poderwało z miejsc, wszystkie serca były w tym samym, polskim rytmie. Mnie wyczałowali nawet konkurenci ze „Sportu” Katowice. W pięćdziesiątej minucie przeżyliśmy to jeszcze raz. Teraz Lucjan Brychczy, cichy bohater tego spotkania, zainicjował jeden ze swoich słynnych slalomów. W pełnym biegu z piłką mijął rywali niemal przez połowę boiska. Sprytnie lawirował między pomocnikami i obrońcami, zwodził ich w prawo, w lewo. Jak chart gonił za nim Igor Netto, ale i on nic nie wskórał. „Kici” był w tym meczu nie do utrzymania. Po jego dośrodkowaniu, wysoko, jak najwyżej mógł i potrafił, wyskoczył Cieślik i strzałem głową zdobył drugą bramkę. Polska! Polska! 2:0... Lew Jaszyn nie wychodził z podziwu.

– Nic tu nie rozumiem! – żalił się po meczu. – Widziałem, jak harują Gawlik i Zientara, podziwiałem sztuczki tego czorta Brychczego, ale Cieślik nie rzucał mi się w oczy. A jednak zdobył dwie bramki. Jak on to zrobił?

Cieślik bez zbędnej filozofii wyłuszczył to nie tylko Jaszynowi:

– Byliśmy dobrze przygotowani fizycznie i psychicznie. Moja rola w tym meczu? Magister wcale nie kazał mi dużo biegać. Gerard – mówił – ty tylko czekaj na okazje do strzałów. Brychczy się o to postara. „Kici” pomógł, zrobiłem więc to, co do mnie należało...

Przy stanie 2:0 jeszcze przez jakiś czas nasz zespół grał koncertowo. Wszystko się udawało: destrukcja, konstrukcja, egzekucja, jak to dwadzieścia lat później tłumaczył Jacek Gmoch w swojej „Alchemii futbolu”. Rywal jednak nie ustępował. Walczył z niebywałą pasją do końca. Teraz pole do popisu miał Edward Szymkowiak. Klasa i forma światowa! Fruwał w bramce, jak najszybszy ptak, ale w siedemdziesiątej ósmej minucie nie był w stanie obronić bardzo silnego strza-

łu Walentyna Iwanowa. Ale i tak zwycięstwo było nasze. Wygraliśmy 2:1! Tak to widział trener Tadeusz Foryś:

...„Ambicją i wolą walki zniwelowaliśmy częściowo przewagę techniczną i doskonałe przygotowanie kondycyjne gości. Dużą rolę odegrała tu również rozsądna taktyka. W destrukcji zastosowaliśmy obronę strefową. To utrudniało napastnikom ZSRR szybką grę i znacznie ograniczało ich możliwości w akcjach „jeden na jednego”. Zawsze była asekuracja. Dobrą robotę w tym względzie wykonał Jankowski. Nie zabroniłem mu strzelać, ale przede wszystkim nakazałem stałe wspieranie Brychczego. Przecież on zmierzył się z Igorem Netto, największą siłą napędową przeciwnika. Szło o to, żeby w tym meczu nie on, lecz „Kici” był górą. I tak się stało...”

A co na to sam Brychczy?

– „Rozegrałem w swoim życiu już setki spotkań w klubie i reprezentacji, towarzyskich i o punkty, ale to zwycięskie z Chorzowa, dzięki bramkom Gerarda, uważam za jedno z moich najwspanialszych przeżyć sportowych. Był to wspaniały mecz polskiej drużyny. Zaś mnie szczególną satysfakcję sprawił fakt, że drugą bramkę Cieślik zdobył głową z mojego podania...”

Brychczy z Legii Warszawa, Cieślik z Ruchu Chorzów, obaj Ślązacy. Przez całą swoją karierę wierni tylko jednemu klubowi – Gerard „niebieskim”, a „Kici” „zielonym kanonierem”. Rozentuzjasmowani kibice obu wynieśli ze stadionu na ramionach. Dziewczęta i chłopcy biegli za nimi, chcieli ujrzeć z bliska ich zmęczenie, spocone twarze, ale i szczęście z nich tryskające. Chcieli dotknąć ręki, nogi, koszulki... Cały Śląsk śpiewał „Sto lat” na część zwycięzców. W tym dniu triumfowała tam tylko jedna drużyna „POLSKA”. Nie było regionalnych i klubowych podziałów. Ubolewam, że później, nawet gdy równie dobrze grała tam reprezentacja, już nie zawsze tak bywało.

„Przegląd Sportowy” opisał ten mecz na kilku kolumnach. Nad całością urozmaiconych relacji dominowało jedno tylko słowo: „ZWYCIĘŻYLIŚMY!”.

Ton redakcyjnego komentarza potwierdzał to wszystko, co o chorzowskiej wiktorii napisali: Grzegorz Aleksandrowicz, Lech Cergowski, Elżbieta Cunge i Jerzy Lechowski. Na całej dużej stronie (format „PS” był wtedy znacznie większy, niż obecnie) przedstawiłem „HISTORIĘ MECZU OSTATNIEJ SZANSY”. Poza tym zapoznałem Czytelników z reakcjami żon piłkarzy:

Czegoś podobnego w życiu jeszcze nie przeżyłam (Zientarowa).

Najbardziej jestem zadowolona, że już się skończyły czasy miesięcznych zgrupowań (Szymkowiakowa).

Czułam, że ulatuję gdzieś w zaświaty, w jakąś bliżej mi nie znaną krainę szczęścia. Z dumą obserwowałam Stefana – walczył, jak lew (Floreńska).

Wspaniały był Szymkowiak. Pojedynek z Jaszynem wygrał zdecydowanie (Gawlikowa).

Widywałam Edka już w lepszej formie, ale wybaczam, bo nie grał na swojej pozycji. Wykonywał specjalne zadania. Miesiąc nie był w domu... (Jankowska).

Regulamin eliminacji do finałów mistrzostw świata był dla nas korzystny. Mieliśmy gorszy od ZSRR stosunek bramek, również w dwumeczu z Polską lepiej prezentowali się rywale. Jednak szans na wyjazd do Szwecji nie straciliśmy. W ostatecznym rozrachunku wówczas liczyły się tylko zdobyte punkty. Do pełnego szczęścia czyli zrównania się z radzieckimi i trzeciego meczu na neutralnym terenie brakowało nam jeszcze dwóch punktów. Trzeba było je zdobyć w spotkaniu z Finlandią w Warszawie. Trener Foryś, z którym kilkakrotnie rozmawiałem przed tą ważną rozgrywką, przestrzegał przed zbytnim optymizmem. Prosił więc o stały i serdeczny doping dla naszej drużyny.

– Nie gwizdźcie – apelował – jeśli nie tak szybko padnie pierwsza bramka.

Stołeczni „meczownicy” nie zawiedli, piłkarze też stanęli na wysokości zadania i pokonali Finlandię 4:0. W zasadzie wszystko wyjaśniło się w ciągu pięciu minut. W trzeciej Gawlik zdobył pierwszą bramkę z istic atomowego

strzału z rzutu wolnego, a drugą Brychczy w swoim czarodziejskim stylu dwie minuty później. Zaraz po przerwie „Kici” dołożył trzecią, a w 65 ten radosny festiwal zakończył Jankowski. Tak to obwieściliśmy w „Przeglądzie Sportowym”:

Ku radości 100 tysięcy widzów
zwycięstwo otwierające wielkie perspektywy.

Teraz tylko pakować walizki
na podróż w nieznane.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że ten trzeci, arcyważny mecz z ZSRR odbędzie się na Sport-Forum w Lipsku. Optymizm w społeczeństwie był ogromny. Nad Elsterę Białą, w której w roku 1813 utonął nasz książę Józef Poniatowski, wybrały się tysiące kibiców. Zadbał o to „Orbis” i „Sports-Tourist”. Wycieczkownicy, obeznani z historią pośpiewywali: – *„Książę Józef Poniatowski dobrze Niemców kropił, tylko całe to nieszczęście, że się nam utopił...”*. Teraz trzeba będzie kropić radzieckich piłkarzy. Jaki los spotka tam naszych? Na zgrupowaniu we Wrocławiu początkowo „wszystko grało”. Nadal humorem tryskał „Jana”. Na pytanie radiowca – kto wygra? – odpowiedział:

– Jak to kto? Polska! To wam mówi sztygar Jankowski!...

Przed tym niecodziennym wydarzeniem od początku, także w tej podróży pociągiem w „nieznane”, towarzyszyłem piłkarzom. Meldunki przekazywane do „PS” napawały optymizmem. **„We wrocławskiej kuźni sypią się iskry”... „Forma już... obecna, mimo że Pohla jeszcze nie ma”**. Gdy się pojawił i w poście czoła zaczął odrabiać „weselne zaległości”, po wnikliwej obserwacji wszystkich napastników zaproponowałem na łamach atak w składzie: Pohl, Brychczy, Kempny (Jankowski), Cieślik, Baszkiewicz. Ale sprawność fizyczna Ernesta nie zadowoliła Henryka Reymana, w rezultacie na prawym skrzydle zagrał Kempny, a na środku napadu Jankowski.

A co z Lentnerem, który tak dobrze spisał się w Chorzowie? Był lekko kontuzjowany i Foryś bał się ryzykować. Zresztą „Baśka” nie był gorszy. Ale to nie koniec kłopotów. W pociągu na trasie Wrocław – Lipsk na grypę zachorował Gawlik, nie najlepiej też czuł się Strzykowski. Nie zdolny do gry był również bramkarz Edward Szymkowiak; w meczu ligowym ŁKS – Polonia Bytom złamał rękę. Szpital to nie reprezentacja! Jak tu grać bez Szymkowiaka, Gawlika, Pohla, Lentnera, Strzykalskiego?...

Co najmniej dwóch z nich mógłby postawić na nogi lekarz, gdyby... kierownictwo włączyło go do wyprawy na Lipsk. Ale dla doktora Henryka Soroczki, który cały czas był z drużyną we Wrocławiu, zabrakło nagle miejsca w ekipie. Zbędny w tak ważnym meczu okazał się również trener Ewald Cebula. Czy dziś takie bzdurne decyzje mogłyby przyjść komukolwiek do głowy? A może była to strategia z góry narzucona? Za trenerem Cebulą w ostatniej chwili ktoś się wstał, ale było już za późno na załatwienie formalności paszportowych. Śmiać się czy płakać? Dziwne to tym bardziej, że zgodnie z życzeniem przewodniczącego GKKF, Włodzimierza Reczka do Lipska pojechały żony piłkarzy.

Reprezentacja „PS” na to spotkanie była liczna i dobrze zestawiona: pięciu dziennikarzy piszących oraz dwóch fotoreporterów Mieczysław Szymkowski i Eugeniusz Warmiński. Jak oceniliśmy przegraną 0:2? G. Aleksandrowicz: – **W Lipsku nie udało się...** L. Cergowski: – **Bez złudzeń, ale i bez żalu...** oraz **Dwie szatnie, dwa światy...** E. Cunge: – **Głosy z Olimpu...** J. Lechowski: – **Nie zabrakło zapachu, zabrakło umiejętności...** Zb. Mejer: – **Zawiedzeni kibice...** Ela Cunge przekazała do redakcji opinie Seppa Herbergera, Gawryiła Kaczalina i sędziego J. H. Clough’a. Trener z NRF i arbiter z Anglii nam współczuli, natomiast Kaczalin... zapowiedział dobry występ „sbornej” w Szwecji.

Brakowało nam tylko wypowiedzi zawodników. Kilku „ruskich” na prędcie w szatni przepytał Cergo, zaś mnie obarczono wywiadami z Polakami. Zrozu-

miałe, znałem ich najlepiej. Z niektórymi rozmawiałem zaraz po meczu, jednego „złapałem” na bankiecie w restauracji Ring Cafe, a jeszcze innych – już po nadaniu sprawozdania i po długich poszukiwaniach w różnych barach – dopadłem w hotelu, gdzie przy suto zastawionych stołach biesiadowali z żonami. Nikt nie wzbraniał się od rozmów. Och, wtedy „Przegląd” był przez reprezentantów wyjątkowo wysoko ceniony! Za fachowość, obiektywizm i życzliwość...

Lucjan Brychczy: – Ja już powiedziałem kapitanowi Reymanowi, że przegraliśmy z powodu złego zestawienia składu. Moim zdaniem na prawym skrzydle bezsprzecznie powinien zagrać Ernest, a na lewym – tak, jak w Chorzowie – Lentner. Tu, w Lipsku pierwsze skrzypce grali: Woźniak, Grzybowski, Korynt i Stefaniszyn.

Edward Jankowski (ze łzami w oczach): – To ja przegrałem ten mecz! Proszę to otwarcie napisać... Przecież gdybym strzelił przed przerwą bramkę, a okazję miałem znakomitą, niewątpliwie wygalibyśmy ten pojedynek.

Tomasz Stefaniszyn: Bardzo głupio wyszło z tą pierwszą bramką. W polu karnym stało obok siebie aż trzech naszych obrońców, ale żaden z nich nie pilnował Strelcowa. Widocznie nikt się go nie obawiał, bo w tym meczu kulał. No i stało się... „Edik” mocno strzelił, piłka trafiła w poprzeczkę, odwróciłem się, by ją chwycić, ale... odbiła się od moich pleców i wpadła do siatki...

Taki był dla nas koniec „batalii MŚ 1958”. W sumie niekorzystny, ale piłkarze, w przeciwieństwie do ich przywódców, zrobili wszystko, aby o polskim futbolu wreszcie zaczęto mówić w Europie głośniej i z uznaniem. Co za ten wysiłek otrzymali zawodnicy? Po wygranej w Chorzowie, na wniosek PZPN, GKKF przyznał Szymkowiakowi, Koryntowi i Zientarze tytuły zasłużonych mistrzów sportu. Podobno były też koperty, ale mocno zalakowane, więc nikt nie widział, co tam było. Niektórych piłkarzy wyróżniono medalami „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Pozostali mieli je otrzymać po meczu w Lipsku. Do dekoracji jed-

nak nie doszło – przegranych się nie nagradza. Do Szwecji pojechała reprezentacja ZSRR.

Zaraz po nieudanej wyprawie do Lipska spłodziłem artykuł, w którym oceniłem postawę naszych zawodników w tych trzech trudnych meczach z ZSRR: **„Jak tam grali nasi piłkarze?”**.

MOSKWA: – „Trzykrotnie słupek bądź poprzeczka uratowały Jaszyna od utraty bramki. Z tego choćby względu przyznałbym wyższość napadowi z Moskwy nad tą linią z Lipska.

CHORZÓW: – „Bezsprzecznie najlepsze spotkanie. Dobrze grały obie drużyny. Być może wyda się to paradoksem, ale pokonani na Śląsku piłkarze ZSRR bardziej mi się tam podobali, niż w Moskwie i Lipsku. O poziomie Polaków rozpisywać się nie trzeba. Zagrali tam przecież swój życiowy mecz.

LIPSK: – „Nasz napad nie potrafił wywiązać się ze swoich zadań. Zatem kto był najlepszy w tych trzech meczach? Bezwzględnie na pierwszeństwo zasłużyło dziesięciu zawodników z Chorzowa: Szymkowiak – Floreński, Korynt, Woźniak – Gawlik, Zientara – Jankowski, Brychczy, Kempny i Cieślik. A kto jedenasty? Baszkiewicz, ale ten z meczu w Moskwie. Grał tam rewelacyjnie...

Żaden z tych piłkarzy, rzecz oczywista, nie pojawił się w Szwecji, ale nasi rodacy jednak tam byli. Spora grupka kibiców wybrała się na mistrzostwa świata statkiem (byli wśród nich także nieliczni dziennikarze), oficjalnie z dietami otrzymanymi z RSW „Prasa” naszą redakcję reprezentował Grzegorz Aleksandrowicz, a PZPN kapitan związkowy Henryk Reyman i trener Kazimierz Górski. Pożytek z wyjazdu pułkownika był niewielki, natomiast znacząco do popularyzacji w Polsce wielkiego futbolu przyczynił się red. Aleksandrowicz, a trener Górski zapoznał szkoleniowców z całej Polski z nowym systemem gry do dziś nazywanym „brasilianą”.

Z wdzięcznością i dużym uznaniem przyjęto spostrzeżenia obu tych panów. Łatwo to wytłumaczyć – wielkiej gali futbolu w Szwecji nie przeżyliśmy na żywo. Nie było stamtąd bezpośredniego przekazu telewizyjnego. Zdany na skąpe relacje radiowe ja też niewiele wiedziałem, czym właściwie charakteryzuje się brazylijskie ustawienie 1+4+2+4. To jedno. Po drugie, interesowało mnie, co ewentualnie mogłaby zdziałać w Szwecji nasza reprezentacja, gdyby znalazła się tam zamiast piłkarzy radzieckich. Tajemnice „brasiliany” poznałem na licznych spotkaniach Górskiego z trenerami w Warszawie i poza stolicą. Towarzyszyłem Kaziowi z przyjemnością. Wszędzie tłumaczył, że schemat 1+4+2+4 jest wyłącznie ustawieniem wyjściowym, w czasie gry często ulega zmianie, ale podstawowe kanony są zazwyczaj takie same. W wykonaniu mistrzów „brasiliana” gwarantuje równowagę w działaniach obronnych i atakujących, jest zapowiedzią „gry wszystkimi siłami”, co – między innymi – oznacza, że nawet boczni obrońcy też mogą i powinni włączać się do akcji ofensywnych. Ogromne zadanie w tym systemie spoczywa na pomocnikach. Muszą wykonywać wręcz tytaniczną pracę, być w obronie i ataku.

Red. Aleksandrowicz napisał całą serię artykułów o tych mistrzostwach. Z powodzeniem można by im nadać rangę pracy doktorskiej. Wyraził pogląd, że z racji wysokiego wyszkolenia technicznego zawodników i ogromnego postępu w zakresie taktyki, były to mistrzostwa nowatorskie. Najlepsze w historii światowego futbolu. Autor poczuł się zmęczony satysfakcjonującą, ale trudną pracą, więc przed urlopem już nie odniósł się do tematu „**Polska, a reszta świata**”. W tej sytuacji na początku lipca 1958, gdy „pan Grzegorz” już pakował walizki na wakacje, zaproponowałem swoisty dialog na ten pasjonujący temat. Publikację tę w środowisku dobrze przyjęto. Na pytanie „*Co by było, gdyby Polska znalazła się w Szwecji?*”, odpowiedzieliśmy – „15 miejsce na świecie”. I dalej: – „*Tylko Brychczy miałby szansę zagrać w trzecim ataku*”. Za obopólną zgodą uznaliśmy te

uwagi za „nie wiążącą rozmowę przy redakcyjnym stole”. Spisałem najważniejsze wnioski z tego dialogu:

Pewne szanse w tym turnieju nasi piłkarze mieliby tylko wtedy, gdyby los przychylną ręką przydzielił ich do grupy sztokholmskiej.

W tej grupie zdecydowanie najlepsza była Szwecja. Z pozostałej trójki: Węgry, Walia, Meksyk żadna drużyna nie zasługiwała na ćwierćfinał. Najśłabszy był Meksyk. Teoretycznie moglibyśmy z nim wygrać.

Szymkowiak, Korynt i Brychczy nie przynieśliby nam wstydu na mistrzostwach świata w Szwecji.

Jedynie Brychczy mógłby kandydować do trzeciego napadu tych mistrzostw. Ustawienie według systemu „trzech obrońców” (WM) 1+3+2+5:

I – Hamrin, Pele, Kopa, Fontaine, Skoglund

II – Garrincha, Gren, Vava, Didi, Zagallo

III – Rahn, Brychczy, Seeler, Mazzolla, Jones.

(Ten ostatni atak miał charakter siłowo-techniczny).

Zakończyliśmy tę rozmowę odważnym stwierdzeniem: Brazylia – nowy wunderteam otwiera oczy Europie na kierunek rozwoju piłkarstwa. Nowy mistrz świata grał w ustawieniu 1+4+2+4, ale gdy była taka potrzeba w siedmiu się bronił, a w sześciu atakował. Uwagi te potwierdzili nasi obserwatorzy Henryk Reyman i Kazimierz Górski.

Zapewne „pan Grzegorz”, jak i ja, tak duży ukłon pod adresem Brychczego zrobiliśmy dlatego, bo byliśmy pod wrażeniem jego fenomenalnej gry w majowym meczu Legia – Górnik rozegranym na Stadionie Wojska Polskiego. Zabranie, uważani przez uczestników redakcyjnej ankiety za zdecydowanego faworyta sezonu 1958, przyjechali do Warszawy w najsilniejszym składzie po pewne zwycięstwo. Natomiast Legia była mocno osłabiona w obronie. To w konfrontacji z bombowym atakiem Górnika: Pohl, Jankowski, Fojcik, Kowal, Lentner nic

dobrego nie wróżyło. Jeszcze na dobre mecz się nie rozpoczął, a już Górnik prowadził 1:0 ze strzału... samobójczego niedoświadczonego stopera Mariana Kostaniaka, w trybie awaryjnym ściągniętego z zespołu rezerw. Zanosilo się na pogrom. Wątpliwości budziły tylko jego rozmiary – 5:0 czy 6:0?

„KICI” BYŁ WIELKI!

W tych kasandrycznych wróżbach nie uwzględniono jednak faktu, że w drużynie Legii gra Brychczy. Przed meczem po przyjacielsku wyściskał się z Kowalem i Pohlem, ale na boisku był katem dla wszystkich rywali. Kapitalna gra „Kiciego” w stopniu największym dokuczyła Floreńskiemu. Ten dobry obrońca, jeden z bohaterów zwycięskiego meczu z Sowietami w Chorzowie, wobec piłkarskiego kunsztu Brychczego był bezradny. Oxfordy, amerykanki, przeboje, dryblingi, zwody, strzały i ruchliwość żywego srebra – oto czym zadziwił kolegów z drużyny, przeciwników z Zabrze i blisko trzydziestotysięczną widownię.

„Kici” znaczy po węgiersku „mały”, ale w tym meczu legionista był „Wielki”. Zdobył dwie bramki i ze stanu 1:2 doprowadził do zwycięstwa Legii 3:2. Po meczu na wszystkich ulicach wokół Stadionu WP i Torwaru słyhać było wydobywające się z tysięcy gardeł potężne „Sto lat”. Ludzie długo nie opuszczali Łazienkowskiej. Burzliwymi oklaskami dziękowali zwycięskiej drużynie i jej największemu aktorowi za piękne widowisko, nieustępliwą walkę i doznane wrażenia estetyczne. To, co zobaczyli i przeżyli, było rzeczywiście największym teatrem XX wieku. Dla red. Zmarzlika Legia nigdy nie była drużyną, która mogła by mu śnić się po nocach. Brychczy też nie był wyżej notowany, niż sosnowiczanie Witold „Giga” Majewski. Jednak to, co „Kici” zaprezentował w meczu z Górnikiem, oczarowało również wicenaczelnego. W najbliższym „Przeglądzie Wydarzeń Piłkarskich” napisał:

...„Nie wiem, czy powstanie piosenka „Dziś gra Brychczy”. Może to za wcześnie. Ale wiem, że Mały „Kici” uważany będzie za wielką indywidualność, która schematom i założeniom taktycznym dodaje rumieńca, która stanowi „sól gry”. Spodziewam się, iż na następny mecz Legii z Ruchem przyjdzie kilkanaście tysięcy widzów specjalnie dla Brychczego.

Nie wiem, czy Brychczy jeszcze raz zagra tak w swojej karierze... czy uda mu się doprowadzić publiczność do szału, spowodować, żeby na cześć Legii, chyba po raz pierwszy od jej założenia, śpiewano „Sto lat”... Kiedyś, a były to czasy austriackiego „Wunderteamu” z dumą informowano – „Heute spielt Uridil”. Po ostatnim zwycięstwie wojskowych nad górnikami ja sam chętnie bym zaintonował „Dziś gra Brychczy...!”.

W relacji krajowej rok 1958 wyróżnił się również próbą ustalenia statusu piłkarza – jest wciąż amatorem czy powoli zaczyna być zawodowcem? Już na Walnym Zgromadzeniu PZPN w 1957 roku Śląsk wystąpił z wnioskiem o wynagradzanie piłkarzy za grę, ale wówczas wiążącej decyzji w tej sprawie nie podjęto. Ta nowość była dla niektórych świętoszków szokująca. Ważne i trudne to zadanie przekazano do rozwikłania wiceprezesowi PZPN, znanemu działaczowi z Łodzi Wacławowi Zatkemu, wielkiemu sympatykowi ŁKS-u. Ten mądry i inteligentny działacz zaprezentował formułę dość długo określaną jako „dożywanie”. Ten rzeczownik był strawny dla gomułkowskiej władzy i obserwatorów z zagranicy, częściowo zadowolili również nasze kluby i zawodników.

– Stosowanie dożywania – nie jest zawodowstwem – dowodził Zatke – ponieważ stopa życiowa jest w Polsce dużo niższa, niż w innych krajach. W tej sytuacji u nas konieczne jest uzupełnianie kalorii. Myślę, że wszystkie kwestie w tej ważkiej materii, wyjaśnimy w przygotowywanej „Karcie Praw i Obowiązków Piłkarza”. Ale za nim to nastąpi, konieczne jest, aby już od 1 stycznia 1958 roku, każdy klub księgował swoje wpływy i wydatki.

Dokładnie w połowie marca 1958 roku „Przegląd Sportowy” opublikował „KARTĘ PRAW I OBOWIĄZKÓW PIŁKARZY”. Była to typowa hybryda, kolejne „**ni pies, ni wydra...**” Niby usankcjonowano możliwości otrzymywania wynagrodzenia za grę w piłkę nożną, ale stanowczo odżegnywano się od zawodowstwa. W preambule do „Karty praw...” podkreślono jednoznacznie, że **„Uprawianie sportu w Polsce nie może stanowić wyłącznego źródła utrzymania. Zawodnik musi się uczyć lub pracować...** Tytułem wyrównania utraconych zarobków klub może wypłacić świadczenia 20 zawodnikom kadry klubowej... Suma wypłacana z tego tytułu nie może przekraczać kwoty 18 tysięcy złotych miesięcznie”.

Nazwano tę innowację „ekwiwalentem na dożywanie”. W „Przeglądzie...” uznaliśmy to za „atrapę kontraktów”. Jednak uwzględniono w nich klasę zawodnika. Wysokość „dożywania” była jawna: grupa I – do 1400 złotych miesięcznie, II – do 1000 i III – do 600 złotych. O przyznaniu piłkarzowi określonej grupy decydował zarząd klubu i miał obowiązek powiadomić o tym PZPN i OZPN. Poza tym zawodnik mógł otrzymać „nagrodę pieniężną” – do 600 złotych za zwycięstwo i do 300 za remis. W dolarach byłaby to zwykła jałmużna. Rezerwowym przysługiwało 50 procent tej sumy. A po zakończeniu sezonu (raz w roku) można też było wręczać upominki.

Takie były „prawa” piłkarzy na papierze. W rzeczywistości, początkowo może tylko poza klubami wojskowymi i gwardyjskimi, nikt tego zapisu nie przestrzegał. Z reguły płacono więcej, najwięcej w klubach przypisanych do wielkich zakładów pracy. Na Śląsku były to głównie kopalnie i huty, w Łodzi fabryki włókiennicze, w Gdańsku i Opolu budownictwo, a w Warszawie przede wszystkim tzw. resorty siłowe – MSW i MON. Zalegalizowanie „dożywienia” nie zlikwidowało „lewych kas”.